WANDA WNUKOWSKA

ur. 1929; Ciecierzyn

Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	Lublin, PRL, handel, prywatna działalność, budowa domu, uprawa warzyw

Utrzymywanie się z handlu w powojennym Lublinie

Jak minęło te siedem lat mieszkania na Lubartowskiej, zgadałam się z takim mężczyzną, który nastręczył nam działkę na rogatce lubartowskiej. Mąż zarabiał, ja też troszkę. Sprzedaliśmy taką piękną wieloczynnościową maszynę do szycia, za którą wzięliśmy tak dużo pieniędzy, że prawie za nią działkę kupiliśmy. Trochę mieliśmy swoich pieniędzy, bo w międzyczasie handlowaliśmy sadami. Kupowało się sad od kogoś. My kupiliśmy sad w Dąbrowicy, który miał sześć mórg. Owoce sprzedawało się do Lublina, a jabłka zimowe zostawiało i handlowało nimi całą zimę. Ten sad bardzo nas podparł finansowo. Na Lubartowskiej wynajęliśmy piwnicę, żeby przechowywać te owoce. Trzymaliśmy też jabłka w Ciecierzynie u moich rodziców. Tam był duży dom z piwnicą, więc było gdzie je trzymać. Z Dąbrowicy do Lublina owoce w skrzyniach zwoziliśmy furmankami przez Jakubowice i Dys. Handlowaliśmy nimi całą zimę na targu przy ulicy Świętoduskiej 10 albo 12. Mąż znalazł też inną pracę. Kupiliśmy konia i wóz i pojechał na budowę zwozić materiały budowlane. Tam, gdzie szła budowa, woził towar z pociągu, który przyjeżdżał z Wrocławia. Budowano wtedy budynki na Nowym Świecie, RDM i szpital na Jaczewskiego. Wkrótce doszliśmy do pięciu par koni. Trzymaliśmy je na ulicy Szewskiej, w budach, w których kiedyś Żydzi trzymali swoje konie. Tam było kilka stajni, bo ci, którzy mieli dorożki, też trzymali swoje konie. Mąż się jeszcze rozejrzał i znalazł pracę – po PGR-ach chodziły nasze konie. Złapaliśmy ładny grosz i zaczęliśmy się budować na rogatce. Tam stanął dom, miał trzy pokoje i kuchnię, ładnie wykończony, wszystko jak trzeba, była studnia, dla koni stajnia i letnia kuchnia. Mieliśmy sąsiada, mieszkał tam, gdzie teraz jest stacja benzynowa tylko z tyłu. Nazywał się Wnukowski, to była taka dalsza rodzina męża. Jak się tam pobudowaliśmy, to do nas przychodził. Był z zawodu ogrodnikiem i pracował na Lemszczyznie w majątku. Nieźle sobie dawał radę, więc któregoś dnia powiedziałam do niego: „Stryju, ja bym sobie założyła ze cztery okna inspektowe tak dla siebie. Pomożesz mi, powiesz, jak to robić?”. Zapytał mnie, co chcę siać, to powiedziałam, że rzodkiewkę, z jedno okno ogórków, sałatę, cebulę, o

tak, żeby było dla siebie. Powiedział mi i mąż zrobił taką skrzynię, kupił cztery okna, obornik mieliśmy swój, co było bardzo ważne. Ja te cztery okna wyprowadziłam i ładnie się to wszystko udało, pięknie porosło. Miałam klientów, sprzedawałam, bo sałaty z całego okna nie zjedliśmy ani rzodkiewki, ani cebuli. Przychodzili sąsiedzi i im sprzedawałam. Zaczęłam liczyć, że mi to dobrze wychodzi. Mąż też powiedział: „Ładnie ci to wyszło, ja ci założę więcej tych okien". Plac był, mieliśmy 1500 metrów, więc mąż założył mi dwieście osiemdziesiąt tych okien. Jak to zobaczyłam, zapytałam: „Jak ja dam z tym radę?". „A to sobie weźmiesz kogoś do pomocy" powiedział mi mąż. I tak zrobiłam, wzięłam do pomocy dwie osoby i to prowadziłam. Jak mi to wyszło, to sobie zrobiłam wroga ze stryjenki, bo była bardzo niezadowolona, że miały być tylko cztery okna, a jest dwieście osiemdziesiąt. To było w [19]54, bo w [19]53 się sprowadziliśmy.
Trzeba było ulicę i chodnik sprzątać, bo dom był na rogu. A jak był w zimie lód i śnieg, to trzeba było go usuwać. Chodził dzielnicowy, dawał karę, nie tak jak teraz – bezkrólewie, nikt nic nie musi. Ci dzielnicowi gdzieś zniknęli teraz, kiedyś oni pilnowali i porządek był! Każdy przed swoja posesją musiał sprzątać.

Data i miejsce nagrania	2010-08-12, Lublin
Rozmawiał/a	Emilia Kalwińska
Redakcja	Emilia Kalwińska
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"